POWAŻNE CHWILE.

ZBIÓR PIESNI

przez

JERZEGO PRAWDZICA.

Mi ritrovai per una selva oscura.
. . . .
Tanto e amara, che poco è piu morte
Ma per trattar del ben ch 'i' vi trova
Diró de l'altre cose ch' i v' ho scorte

Dante.

WSTĘP.

Dumałem długo czy te duszy dzieje,
Samotne z Bogiem sumienia rozmowy
Zatopię w piersi, jak w konsze perłowéj,
Czy w świat jak czarę ofiarną wyleję.

Usnęli wieszcze i czas czynów dnieje.
Chcieć ich doścignąć, to wiatr gnać stepowy,
Olbrzymie myśli odgrzać karła słowy:
Dusza się brzydzi i świat się wyśmieje.

Lecz dzieje k'niebu sięgającéj woli,
Woli, walczącéj w świata zawierusze,
Dzieje tęsknoty ku ich aureoli:

Jak dzwon, co wzywa w świątyni podwoje,
Niechaj w świat idą między bratnie dusze —
Niech budzą — giną.... Idźcie pieśni moje.

I.

Duch, odszczepiony od Ciebie, o Panie,
Złamanem skrzydłem bije w zmartwychwstanie
Do Ciebie dąży wieczystą tęsknotą;
Cierpienia piekłem, męczeństwa Golgotą
Chce się wydrapać ku światła potokom,
Co u stóp Twoich sługami się wloką.

Ale bez łaski Twojéj o mój Boże,
Lecz, gdy nieświecą mu Anieli Stróże
Kiedy mu uśmiech Maryi nieprzyświeca:
Jego szarpanie i jego tęsknica,
Jego podloty — skrzydeł szamotanie,
To tylko nicość, słabość i konanie;

To duma tylko, te grzeszne zachcenia,
A jego bole, Panie, nie — cierpienia.
I niema cnoty w jego skrzydeł locie,
Jak niema cnoty w kwiatów polnych woni,
Jak niema cnoty w wawrzynach u skroni,
Jak niema cnoty w wiecznym gwiazd obrocie.

Lecz gdy mu łaską przyświecisz niebieską;
Gdy go ustroisz w suknią pomazania,
Wtedy powstanie wspaniale, królesko
Duch władzca śmierci i pan zmartwychwstania.
Boleści jego — wtedy cierpieniami —
Podłoty jego — wtedy polotami —
A siła jego — to moc nieśmiertelna
Dzielna w niebiosach i na ziemi dzielna.

Rój myśli jego, skamieniałych wojów
Powstanie wtedy, jako zastęp Boży,
Rój dźwięków jego — rozstrojonych strojów
Miłośnie w pieśń się harmonijną złoży,
A w otworzone miłością ramiona
Ty płyniesz Panie do świętego łona!

II.

Prawd Twoich, Panie misterna budowa
Jako cudowny tum dawnych stóleci
W duchu człowieczym stoi lazurowa,
Jaśnieje słońcem i gwiazdami świeci.

Słupów tysiące wiąże się z słupami
Dążą ku niebu i bracą się w niebie.
A w mgle oddalin, po nad sklepieniami
Anielskich skrzydeł szum wspomina Ciebie.

I w świętéj ciszy tam dusza natchniona
Rozpiera skrzydłem ciemne tumu ściany,
O gwiazdy niebios opiera ramiona
I ginie skronią w mgle tajemnic rannéj...
W łzie zachwycenia, w pokornem natchnieniu
Wyroków pańskich myśl się z nią zestrzela:
W serca miłosnem, bojaźliwem drżeniu.
Huczy jéj wielka pieśń, pieśń Stworzyciela.

Lecz grzeszna dusza inaczéj zobaczy
Prawd Twoich świętych misterną budowę;
Kiedy na serce drgające w rozpaczy,
Gdy na płonącą od męczarni głowę
Świątynia duszy z grzmiącym hukiem pada
I każdy kamień i każda arkada
Serce okrwawi i mózg jéj oznaczy.
Kiedy szatańską zgruchotane mocą
Przybytku Pana mury się powalą,
A ze sklepienia lecąc, zamigocą
Gwiazdy i w duszy straszny ślad wypalą;
A gruzy ruin odgrodzą na zawsze
Skrzydła aniołów i niebo łaskawsze...
O wtedy dusza w ciemnym swoim grobie
Jękiem rozpaczy prawd swych poczet liczy
Konając świadczy im, światu i Tobie.

III.

W otchłani świata, w dążeń zawierusze
Maleńkich światów — dusz lecą miliony
Olbrzymi sztandar wichrami niesiony
Leci przed niemi i wiedzie te dusze.

Dokąd? niepyta żadna z bladych twarzy
Każda inaczéj sztandar ten nazywa
Lecą, bo w ciemni, która świat okrywa
On jeden blaskiem migotnym się żarzy.

Skąd owa światłość? Słoneczna? piekielna?
Nikt nieodpowie — nikt niepyta o to:
Ich pędzi naprzód dusza nieśmiertelna
Żyjąca ruchem — drgająca tęsknotą.

Ich pędzi naprzód próżnia duszy dzika
Sklepienia duszy straszliwe pęknięcie,
Pierś, co się lilią ku niebu odmyka
Po zmartwychwstanie o! po wniebowzięcie.

Niesk o ńczoności! szeptają namiętnie
A gdy w upadku zapadną otchłanie
Nieskończoności widać jeszcze drganie
W każdem ich grzechu i krwi każdem tętnie.

A śmierć w ciemnościach zdradnie utajona
Coraz rycerzy od sztandaru zrywa:
W jéj ręku ziemska rozpryska zasłona
A dusza chwilę blaskiem gwiazd polśniwa

Kłam zadająca sztandaru światłościom:
Lecz żadne oko w górę niepodlata,
Dusza na nowo kryje się ciemnością;
A ludzie gonią po trupie współbrata.

IV.

MATKA I SYN.

MATKA.

Synu, synu, na mszę dziad podzwania
Do kościoła idą ludzi roje,
Ja niemogę się ruszyć z posłania
Idź i módl się za mnie, dziecię moje.
Czemu siedzisz wciąż nad wielką księgą,
A krew bije do wzniosłego czoła:
Że harmonii niebieskiéj potęgą,
Dzwon cię na mszę odwołać niezdoła.
Matka siedzi sama opuszczona,
  Ty niemówisz, ty nieodpowiadasz:
A gdy wzniosę ku tobie ramiona,
  Ty milcząco do twéj księgi siadasz.
Kiedym księdza wołała z pościeli
  Gdym na umór tak leżała chora,
Tyś się zerwał jak spadli anieli
  I poszedłeś mnie przywieść doktora.

A gdy zbliżył się Zbawiciel ku mnie
Niesion dłońmi świętemi kapłana,
Toś ty patrzył tak zimno i dumnie
I nieupadł nawet na kolana.
I niebywasz nigdy u spowiedzi,
Człek pobożny z tobą niewytrzyma,
Jeno ciągle ten druch z tobą siedzi,
Co na czole ma znamię Kaima.
I rozhowor prowadzicie długi,
Ale znać on do złego cię skusza,
Bo go pańskie nierozumią sługi,
Chrześciańska nierozumie dusza.
Ale znać on niedobrym człowiekiem
Kiedy syna odemnie odwrócił,
Biednéj, choréj, przyciśnionéj wiekiem;
Syna co mnie słowikiem wprzód nucił
Nieskończoną pieśń świętéj pieszczoty;
Znać on nie jest człowiekiem jak trzeba,
Kiedy ciebie odwraca od cnoty,
Kiedy ciebie odwraca od nieba.

SYN.

Niemów, niemów tak matko kochana,
Myśl jego wam niepojęta,
Myśl jego niezrozumiana.
Ale wielka, ale święta,
Choć wiedzie przez męki i boje,
Przez złożone twe rączęta.
Przez bolesną duszę twoją,
Przez najdroższe świata mary!
Z ofiar krwawych plecie wianki,
Pacierz dziecka, zachwyt wiary,
Miłość k'tobie i przeszłości
Piękność dawnéj méj kochanki,
Wiąże w wianek wszechmiłości!

A choć serce me rozkrwawię,
Choć je męką wydrę z łona
Ona będzie wybawiona,
Ludzkość zbawię!...
Będę wielki, będę sławny,
Czynu wybije godzina;
Przesąd porzuciwszy dawny
Będziesz dumna z twego syna,
Pobłogosławisz synowi!

MATKA.

Wielki i sławny. Co ci roi się po głowie,
Bądź poczciwy, to dosyć, jak twoi dziadowie
Nasi dawni kontuszowi
Byli poczciwi na świecie;
Wielkość, co stąpa po matczynéj głowie
Niecnotliwa wielkość, moje dziecię.
Wielkość, co miłości związki zrywa,
To szatańska wielkość — niecnotliwa.
Inaczy marzyłam o tobie,
Inną przyszłość obiecałam sobie.
W domowéj ciszy, przy wiejskim kominku
Przy mojem dziecku jedynem, przy synku
Miała odpocząć ma głowa,
Jak moich babek i prababek rodu
A z wnuczętami bieluchna synowa
Jako gołąbka miała mnie pieszczotą
Chronić od starości chłodu.
W oku jéj starą świecącem cnotą
Miałam opiekę złożyć przy mym zgonie
Nad moim synem sierotą;
I umrzeć cicha i błogosławiąca
Na dzieci łonie.

SYN.

Dziwna wonność od twych snów nadwiewa,
I ja niegdyś tak marzył po cichu,
Ale niechcę ja ładować grzechu,
Że spokoju pragnę i mierności.
Nie! niezłączy się nigdy w miłości,
Co raz ostrze konieczności zrywa.
Niezrozumią się plemiona więcéj
Które kilka dziesiątek lat dzieli;
Swiat w szalonéj swéj topieli
Dusi dawne, stawia nowe
A szyk dzieci pacholęcy
Musi iść przez ojców głowę.

MATKA.

Synu, synu, szatan z ciebie gada,
Chryste Panie!

SYN.

Biada! biada! biada!

MISTRZ (*wchodząc*).

Piękny jesteś — w twem czole ból świata
Oto darzę cię uściskiem brata.

SYN.

Ale matkę zgubię mą jedyną!

MISTRZ.

To bądź dawnym potulnym chłopczyną.

SYN.

Biada! biada!

V.

AFORYZMY.

„I przedsięwziąłem badać wszystko skrzętnie,
Co się pod słońcem od stóleci stało;
Gorsza niewrzała żądza w serca tętnie
Straszniejszéj chęci niebo nam niedało.“ ¹)

Podniosłem dłonie, jak mistrz tonów w górę
I chaos świata chciałem w pieśń pobratać,
Orkanem głosy wzleciały ponure
I żmii rojem jęły pierś oplatać;
Nad ich tumanem leciał duch zniszczenia
Chichocząc dziko z dziecięcia zachcenia.

Jam stał i w oczy rzuciłem mu wieczność!
Nieśmiertelnością moją zbrojny stałem,
Miałem pierś pełną, wrzące serce miałem
A w głębi duszy pieśni jakiejś dźwięki,
Którą słyszałem — niewiem gdzie słyszałem
Więc jak krzemienia Dawid, ja piosenki
Użyłem mojéj na Goliatów świata;
Rzuciłem — pękła na piersi Goliata.

On się uśmiechnął i rzucił laurami
I dumy słowo powiedział ziejące.

¹) Początek Ekklesiastesa.

Jam pieśń mą przeklął, przeklął serce wrzące
Wzniosłem ramiona jak węże wijące
I świat chciał opleść ciała ramionami.
W przepaście ziemi poleciałem dumny
Ducha jak lampę dzierząc w słabéj dłoni,
Bezczelną ręką odbijałem trumny
I świecił lampą nad zmarłych czaszkami,
W przepaście niebios leciałem szalony
I mleczne drogi śledziłem oczyma
Pytając dziko: Niema go? A próżnia
Serca mi ciągle powtarzała: Niema!

Więc cisza straszna pierś moją osiadła,
Zbladła mi ziemia i gwiazd jasność zbladła,
Pieśń jako otchłań otwarła się dzika
Po szelest wiatru — po światło promyka,
Aż zrozpaczona do ziemi przypadła
By całą miłość, którą k' niebu wrzała
Utopić w orgiach ziemskości i ciała...

Wtedy na pół umarły anielskiemu życiu
Spotkałem go, spotkałem w serca mego biciu:
Spotkałem go — ujrzałem: jak duch Banka blady.
Zaczął mi truć kielichy i mącić biesiady —
Budził mnie, gdym usypiał siwą swoją głową
I na pułapie pisał Baltazara słowo:
W pół rozpoczętéj pieśni gęśl wyrzucał z ręki
Zem padał i pomieszał szyki méj piosenki.
Zem na lutnię padając, kark zuchwały zniżył
Bo czułem w drżeniu struny, że się on przybliżył.

Szedł na mnie — i bój wielki wszczął się między nami!
Szedł jak morze i wpłynął w każden ducha kątek

Szedł jak wichr i poruszył duszy tajnikami
Zerwał rany boleści i groby pamiątek
Wszystko, com umną ręką pchnął w przepaść głęboko:
I nagiemu popatrzył orlem okiem w oko...
Zadrżałem — alem oczy przesłonił rękami!
Wtedym w ciemności szelest słyszał jego szaty
Jak odpływał odemnie — w górę — w niebios światy,
Słyszałem, jak me serce, jak dzwon na kurhanie
Leciało głosem za nim — przykute do ciała:
I wyjąknąłem cicho: Zwyciężyłeś Panie!

VI.

DROGI ZBAWIENIA.

Kto raz Cię odbieżał o Panie na niebie
Ten zaraz, o Panie! nietrafi do ciebie
Lecz długo, boleśnie, w ciemności obłędzie
Szukać Cię będzie.

I Twoją istnością, niezaraz o Panie
Zapełnisz otwarte tęsknoty otchłanie,
Lecz stopą pielgrzymią przemierzy przez głogi
Odstępstwa drogi.

Więc najprzód nad głową Ty burzą gromową
Zawiśniesz potężny, straszliwy Jehowo

I szumieć mu będziesz jak sądu puzany
Nieubłagany.

W okropnéj Ty ciszy pogrążysz mą duszę
Na samotności osądzisz katuszę,
Że w drżeniu wiatru będzie drżał przed Tobą
Wieczorną dobą.

I czuć on będzie, jak stóp Twych sandały
Czerwonym się piętnem na głowie zostały,
Jako nad duchem wisi gednym plagi
Piorun Twój nagi.

A duch ten smutny, jako ptak goniony
O ziemię pada, słaby, potrwożony,
Twarz się odwraca a prawica licha
Blask Twój odpycha.

I szepce w głębi: On wielki, ja mały!
Czemu się mści tak Pan wieczystéj chwały,
Czemu litości niema? jam ubogi —
O! Pan to srogi...

Lecz wnet znicestwion przed Twojem obliczem
Bije w proch ziemi czołem pokutniczem
W poczucia grzechu bolesnem konaniu
Wtórzy karaniu.

Wtedy jak Anioł zbawiający duchy
O ściany serca uderzy dzwon skruchy,
Jak loretański ów, którym, kto wierzy
Burzę uśmierzy.

Serce topnieje i łza z oczu pada,
Z nicości znowu wstaje dusza blada,

Wstaje — i widzi — w Bożych zórz jasności
Pana Miłości.

Jerozolimskie u stóp miasto leży,
Krew z ramion krzyża strumieniami bieży,
Na tle zórz jasnych ramiona skrwawione
Ku mnie zwrócone.

Z otchłani leci białych duchów roje,
Nad krzyżem pękły niebiosów podwoje,
Upada szatan — a dreszcz zmartwychwstania
Ducha przegania.

Lecim! krzyż z ciałem objąwszy ramiony,
Ziemię rwiem z krzyżem! W pęd niedościgniony
Tęsknotą wieczną lecimy niesieni
W kraje promieni.

Lecim! przejrzystsze coraz świateł koła,
Skrzydła nam rosną, rośnie blask u czoła,
Pierś taje w płaczu rozkoszy bez końca!
Ze słońc na słońca.

Lecim, a w blasku, co coraz mocnieje
Wzrok się spotężnia i pierś olbrzymieje
Serce się z duchem w jeden himn przelewa
I Panu śpiewa...

Lecim — jak otchłań duch się rozprzestrzenia
Otchłań pełności — otchłań wszechistnienia —
Lecim, gdzie w środku światłości topieli
Gołąb się bieli...

VII

PAN W DZIEJACH.

Panie! Ty w wieków chaotycznéj toni
Często ukrywasz jasność Twojéj skroni
I Twéj prawicy straszliwa moc ginie
W człowieczych mózgów bezładnéj ruinie.

Ty często czarną okrywasz się szatą,
I dasz się zaćmić grą świateł pstrokatą,
A archanielskich Twoich trąb podźwięki
Milkną przed głosem rozpustnéj piosenki.

Ty w tłumie wiernych, w powadze Jehowy
Niewystępujesz jako Bóg gromowy:
Ani szalbierzy niedarzysz spojrzeniem
Ani świętoszków niećmisz Twem natchnieniem.

Panie! Ty wtedy milczysz utajony
Ty szatanowi dozwalasz zagony
Rozpuścić w świecie i w błazeńskiéj szacie
Dasz mu grać rolę w dziejów majestacie.

Lecz która dusza na cal wyższa jeszcze,
To ona czuje Twe gromy złowieszcze,
To oną mocą ze strachem się zrywa
Bo nad nią wisi Twa głowa sędziwa.

VIII.

Gdy widzę orszak pogrzebny, dla czego
Myśl moja leci śladami zmarłego
Gdzieś w ciemne, wielkie, tajemnicze koła?
Gdzie szumi w górze skrzydło archanioła
A w dole śpiewy potępieńców dzwonią...
Staje — pot zimny cieknie bladą skronią
I niespokojnym, jako ptak przed burzą
Lub pies, co czuje mór i krwawe wojny;
Gdy spółczesnego mi w mogile nurzą
Nie! nie! niemogę być wtedy spokojny...

I kiedy patrzę po ludziach i świecie,
Patrzę w te tłuste, uśmiechnięte twarze,
To w każdéj twarzy widzę, jak w szkielecie
Zapadłe oczy, wieczności ółtarze
Gdzie robak, kapłan lęgnie się wieczności..
To myślą zdzieram obsłony z piękności —
A kość wężowym opleciona gadem,
A klatka piersi trawą przerośnięta
Jedynym wdzięków pozostaje śladem;
I myśl ma straszna, jak pająk co przędzie,
Tęczowe włókno przez zmarłych oczęta
Pyta się niebios: O! co z niemi będzie?

A gdy się kładę spać wieczorną dobą
To wióro trumny miast poduszki czuję
Sklepienie domu podobne mam grobom
Zegar jak robak, co wieki rachuje

Mnie jednostajną w sen pieśnią kołysze:
I w wielką ciszę, uroczystą ciszę
Suną się ku mnie pradziadów postacie
Trąb archanielskich głos nad sobą słyszę.
A potem wszystkie grzechy za żywota
W czartowskich pląsach suną ku mnie chmarą
I wiara w skrzydła pleszcze przed niewiarą
A przed szyderstwem znika miłość złota,
A przed rozpaczą — nadzieja ucieka
A przed słabością — Boża moc człowieka,
A przed straszydłem bezwstydu bieluchna
Niewinność z płaczem ucieka do nieba,
Suną się ku mnie — ich oczy jak próchna —
Orszak bolesny naddziadów przepada
I biała matka woła biada! biada!
Alem ja dumny, pomocy nie trzeba!
Jeszcze szyderstwa ostatnie uśmiechy
Jak koniec dzieła, jak ostatnie grzéchy
Na bladéj twarzy potępieńca się cą
Ostatnie gesty komedyi żywota
By ukryć skrzętnie, jak się pierś szamota.
Wtedy mnie matka bolesną źrenicą
Wtedy mnie w mózgu stojąca Golgota
Tak przewierciła głębią czarną łona
Żem zepsuł rolę i chude ramiona
Wyciągnął ku niéj — Zapóźno! zapóźno!
Niebo mnie jaśnią odepchnęło groźną
W szarpaniach ducha drgnął mi muszkuł każdy
I kędyś lecę przez gwiazdy, na gwiazdy
Bez końca — na dół...

IX.

SAMOTNOŚĆ.

Duch mój, jak młody orzeł w chacie wychowany
Posłyszał szumy wichrów, bijących o ściany,
Zobaczył lite skały świecące się w słońcu,
Domyślił się niebiosów w widnokręga końcu,
Domyślił, że ma lotki za długie i mocne
Aby trzepały tylko jak puchacze nocne
Rozpostarł je: szalenie na swoich się rzucił
Zdzióbał dzieci i gazdę na ziemię przewrócił —
I buja teraz w wichrach olbrzymi i wolny
Ale gdy ciche łany stróż przechodzi polny
Gdy się w chacie zadymi kominek wieczorem
Dziatki o dawnym druchu zawiodą goworem,
Gdy wierny bocian zlata na gniazdo lipowe;
To orzeł w czarne skrzydła smutną chyli głowę
I pomiędzy chmurami, co płyną ku ziemi
Sam się czuje i strzeże skrzydłami wielkiemi
Aby piorun w cichutką chatę nieuderzył
Kędy orlik-niewdzięcznik pierwsze lata przeżył.

X.

WESTCHNIENIE.

O czemuż to życie podarte na szmaty
Jako płaszcz błazna pstrokaty?
Czemu szydercza godziny potęga
Wieczność na drobne chwile rozprzęga
Którą duch czuje w swéj głębi —
Czemu gdy miłość lawą w duszy kłębi
Musi mieć przódy czas powstania, wrzenia
A kończy chwilą stygnienia?
Czemu chwilę wielkości niemożna lwią siłą
Odciąć od tego łańcucha
Upadku i słabnień ducha
Którym nas niebo obwiło?
Czemu chwil kilka spędziwszy w zachwycie.
Niemożna weń całe zamienić swe życie
Cierpieć, to cierpieć bez końca
Jaśnieć, to jaśnieć jak słońca!
Czemu raz cel swój ujrzawszy daleki
Raz rozgrzawszy potęgi płomieniem
Trzeba osłabieć na duchu
A nie zginąć w wiecznym ruchu
Rozkoszą albo cierpieniem!
Ztąd wszystkie grzechy człowieka i świata,
Bez czasu byłby czartem lub aniołem:
O czemu to życie jak błazeńska szata
Z dzwonkową czapką nad czołem?

XI.

DO EXALTOWANYCH.

Słabe duchy! co w bólu kochając się pięknie,
Pierś męczycie, dopóki fałszywie niejęknie
Urojonem cierpieniem, wymarzoną stratą
Żalem, czemu ta ziemia nie jest popielatą
Lecz zieloną lub czemu niebo niejest złote,
Pielgrzymy na zrobioną z papieru Golgotę!
Musi sam Pan Bóg wiedzieć, jacyście wy mierni
Gdy wam prawdziwych w życie nienasypał cierni.
Ślimaki w wiecznéj marzeń zamknięci skorupie,
Zakamieniali jako Stylita na słupie.
Znam was i z pozy waszéj, serdecznie się śmieję
Na wskróś przebiłem duchem waszych duchów dzieje.
Was, coście raz tak zgrzeszyć niemieli odwagi
Aby przed wami stanął Bóg srogi, Bóg nagi,
Wy, coście raz tak kochać niemieli potęgi
By owinąć swą miłość w krwawe serca wstęgi
I znicestwieć w miłości szalonem zachwycie:
Niedziw, że wy druchami w swéj dumie gardzicie;
Bo was Bóg nigdy swoją nieuczcił pogardą
Ale wam daje chodzić z waszą miną hardą
Jak bezpieczne waryaty chadzają po ziemi,
Co skaczą gdzieś pod niebo skoki zabawnemi,
A gdy spadną, niebiosa widzą w każdéj fali
Bo niemogą zrozumieć, że próżno skakali.

XII.

PRAWO CIĘŻKOŚCI.

W zachodu jaśni pół gore błękitu
Ja w jaśń zachodu patrzę z góry szczytu.

Myśl ma polotna — stęskniona dosięga
Tam, gdzie się kończy koło widnokręga.

Zuchwałą nogą odpycham kraj ziemi
W powietrze skrzydły zwisnąłem srebrnemi.

Ziemia, jak wielka, ciemna, brudna kula,
Lśni chwilę w słońcu i w chmury się wtula.

Bezmiar przedemną — tylko słońce złote
W łonie bezdenną roznieca tęsknotę.

Chmur długie smugi suną po błękicie
Ja lecę w wieczne, nieśmiertelne życie.

Chmury znikają, jak znużone gońce
Trzéj zostaliśmy: błękit, ja i słońce.

Lecę — lecz słońce ku mnie się niezbliża
W dal lecąc złotą błękity rozszerza.

Cisza i światłość, i światłość bez końca
Bezdeń podemną — nademną ziejąca.

Nigdzie odmiany — mety ni granicy;
W wszechświata świetle tak pusto źrenicy;

Otwieram oczy, dziko, gorączkowo,
Czy ptak zbłąkany niezwiśnie nad głową.

Czyli ku ciepłu muszka jaka z ziemi
Się niezbłąkała skrzydłami srebrnemi.

Czyli szelestu piór jéj niesłyszę,
Coby zmąciły straszną niebios ciszę. —

Głucho! blask bije i oko słoneczne
Patrzy się na mnie straszne, puste, wieczne. —

Głucho! i w piersi tylko zabłąkanéj
Serce uderza w ciasne klatki ściany.

Słabieją skrzydła — oczy wytężone
Patrzą za siebie — gdzieś tam w ziemi stronę.

Jak biedne ptaszę, co przed kanią goni
Z krzykiem się zwracam w jasnéj niebios toni.

I jak ku słońcu przed chwilą, drżącemi
Ramiony tęsknię do dalekiéj ziemi.

Lecę i z złotą na twarzy nadzieją,
Witam chmur rąbek, co się w słońcu grzeją.

Witam — słabemi zwisam na nich pióry,
Widzę me wody, me lasy i góry.

Namiętnie skrzydłem ku brzegu żegluję
Padam i ziemię rodzinną całuję.

XIII.

PSALM.

Niechciéj o Panie, bym lampą kamienną
Lśniał Twoich myśli oliwą promienną
A sam był ciemny, słabiuchny i kruchy
Jak grzeszne duchy.

Niechciéj o Panie, bym patrzał na Ciebie
Jak z Aniołami tryumfujesz w niebie
A sam nieruszył na tryumfów drogi
Przykutéj nogi.

Niechciéj o Panie, bym okiem natchnienia
Przebijał tajnie Twojego istnienia
A potém sparty na lutni rozumnéj
Spoczywał dumny.

Niechciéj o Panie, bym u Majestatu
Wyroki Twoje czytał temu światu
A umnem okiem patrząc w ich konieczność
Stracił swą wieczność.

Niechciéj o Panie! bym się z Tobą mierzył
Ufał z natchnienia — z wiedzy ducha wierzył
Bym na mych skrzydłach wzniesiony wysoko
Patrzał w Twe oko.

Bo lampy onéj los mnie spotka lichy
Straciwszy światło straci powód pychy,
A bezczynnemu wyznawcy Twych czynów
Dasz garść wawrzynów.

Bo tryumfalnym przeszedłszy pochodem
Samego z duszy zostawisz mnie głodem
Na sędzię światów uważać niebędziesz
Gdy sądzić siędziesz.

Lecz z łaski swojéj nieśmiertelnych stoków
Z myślą proroków daj życie proroków,
Lecz daj mi chwałę, miast liścia wawrzynu
Dobrego czynu!

Lecz daj mi lichych na duchu prostotę
I dzieciąt małych daj mi usta złote
Aby me usta, co wieki sądziły
Pacierz mówiły.

Lecz daj mnie wielkość utopić w miłości
Lecz daj natchnieniu roztajać w świętości,
Niechaj me światło nad głową po zgonie
Cnotą mi płonie.

XIV.

ADORACYA.

O! nieprzebrane dobrego otchłanie
W sercach Ty naszych złożyłeś, o Panie!
Lwią dałeś siłę i gibkość dał trzciny
Aby nas widzieć posłusznemi syny
I pośród świata niskiego padołów
Małoś nas mniejszych zrobił od Aniołów.

W bezdeniach złego niedasz nam upadać
Ale dozwalasz Aniołom zagadać
Do słabéj duszy i na skrzydeł zwoju
Wynosić padłych w krainy spokoju,
A im tam głębiéj serce człeka leży
Tem większy mocarz na ratunek bieży.

Kiedy drży człowiek pośród ziemskiéj drogi
To mu Ty zsyłasz Anioła przestrogi,
Kiedy słabnieje, Ty jak rosę drzewu
Grom polom, zsyłasz mu Anioła Gniewu,
A gdy ócz jego niepomogą żary
To szlesz na ziemię Cherubina kary.

I Anioł kary na grzeszną skroń zlata
Smutny i blady goniec Niebios świata
A co najdroższym było dla niéj — z ziemi
Bierze i niesie skrzydłami srebrnemi.

Aby gdy inne mu gwiazdy nieświecą
Najdroższa dusza opieki źrenicą
Swieciła z góry i gdzie gwiazd korona
Opadłe winą podniosła ramiona.

Oto doznając takiéj Twéj opieki
Panie! ja Ciebie wielbić chcę przez wieki,
I Twoje kary i Twoje wyroki
Boś Ty jest ojciec miłosiernooki,
I każda dusza, w śmiertelnéj już toni
Spoczywa Panie w czułéj Twojéj dłoni
Spoczywa w Twojem objęciu miłości
O chwała, chwała Ci na wysokości!

XV.

JÉJ CIENIOM!

1.

Panie! zabierasz świętych Twoich z ziemi
Bośmy niegodni, by chodzili z nami,
Niedługo Panie! pozostaniem sami
Sierocy naród pomiędzy obcemi.

I kiedy myślę posępną godziną
To w piersi biję pokutną prawicą
I mówię w duszy: Niech ku niebu płyną
Niech im Anioły światłem swojem świecą

O niech wracają znękani tułacze
O! niech do swoich wracają stęsknieni,
Żadne ich serce godnie nieopłacze
Ani pociechą starość ich spromieni.

O! niech wracają! niech praojców rzesza
Idzie ich przyjąć w uścisk serca bratni,
A niech radości im ta myśl niemiesza
Że powracają ostatni!— ostatni!

Niech Marya Panna garnąc ich do siebie
Gdy w łzach rozkoszy topią się ich dusze
Powie im jeszcze: Dobry Pan mój w niebie
Duch ich wyczyści w pokorze i skrusze!..

2.

Przy świętych naszych składam ją, o Panie
Niechaj jéj świeci jasność wiekuista:
Jeden kłos więcéj na Zmartwychpowstanie,
Jeden blask więcéj w aureoli Chrysta.

Trumnę jéj w ojców grobowiska niosę
Między spóchniałe szkarłaty i złoto
Ubogą moją, bo miast pereł oto
Tylko łez moich widać na niéj rosę.

Czarne sklepienie, co się nad nią zsklepi
Troskliwie w czułe ujmie ją objęcie,
O tam jéj będzie spokojniéj i lepiej
Niżeli w świata grzesznego odmęcie.

Tam staréj cnocie płochość nieurągnie,
Tam grozy świętéj ironia nieruszy,
Tam świętokradzka dłoń się nieposiągnie
By zmącić spokój jéj anielskiéj duszy.

Tam syna winy czoła jéj nieschmurzą
Rąk modlitewnych niezerwą w rozpaczy:
Ale zwycięzka nad tą świata burzą
Tam ona wszystkim i jemu przebaczy.

Tam wiecznéj ciszy serca, co zastygło
Jęk syna więcéj i rozpacz nieskłóci,
Majestat niebios, jaśnią niedościgłą
Na męczennicze jéj lica powróci.

Tam ziemska miłość na twarzy jéj zgaśnie
Słabość miłości rysów nie złagodzi
Ale mi świecić będzie wiecznie jaśnie
Jak stérna gwiazda wśród świat powodzi!

3.

Rączęta moje chude, bieluchne rączęta
Niby skrzydełek para nad głową rozpięta
Moją, niby miłości łuk jasnoróżowy
Nigdy już niebędziecie strzedz méj biednéj głowy.

Nie! zimne, nieruchome, skostniałe na wieki
Leżycie wyciągnione, choć syn bez opieki
A krzyżyk z Zbawicielem mą dłonią wetkniony
Błogosławi wam swemi czarnemi ramiony.

Wy pracowite rączki, wy sterane w znoju
A dziś już tak spragnione wiecznego spokoju
Że i prawica syna ugiąć was niezdoła
Byście mu raz ostatni dotknęły się czoła.

Nie! nic już niema więcéj! Marmurowość zgonu
Usiadła przy twéj trumnie, by u wieków tronu!
I mnie już tu niebawić — ziemi oddać ciało
A k'niebu podnieść serce i duszę zbolałą.

I k'niebu iść pielgrzymem. Bo czuję, jak w głębi
Niebios ona zawodzi ku mnie w głos gołębi
W chórze sfer gdzieś niebieskich — nademną — koło mnie:
Synu mój! o mój synu! pójdź do mnie! o! do mnie!

4.

Ołtarze pańskie święte, sklepienia kościołów
Postacie świętych, kształty bieluchne Aniołów,
Lampy miłości Pańskiéj symbolem jarzące
I wy znaki pogrzebne, świece gorejące,
Kiry i białe krzyże, dzwony, co w cmętarną
Ciszę ronicie pieśnią boleści ofiarną:
Kocham was, choć niegodny, boście ciąg żywota
Jéj otaczały jako nić różańca złot ,
I od kolebki dziecka aż do trumny wieka
Swięta waszych tajemnic strzegła ją opieka.

Zrodziła się i zmarła w waszéj świętéj straży,
Przy chrzcielnicy ją wzięto między namaszczone
Niewiasty Pana — pośród świata burzy
Uciekała pod pańskie sklepienia święcone

A modlitewnie zgiętéj nieraz wielcy w Bogu
Podawali myśl dobrą u kościoła progu
I Anieli z ołtarza łzy jéj i boleści
Nieśli w górę wzlatując z słowem dobréj wieści,
Aż w świętéj służb e Pańskiéj, modląc się przed chwilą
Uleciała ku niebu lekkością motylą.

Wtedy nad ciałem biednem, upadłem przedwcześnie
Dzwon ze świątyni pańskiéj zajęczał boleśnie,
Wtedy około ciała jaśnią zmartwychwstanną
Zagorzały gromnice na zbawienia rano,
Wtedy kiry ją czernią otoczyły smętną
Na znak, że będzie ludziom téj ziemi pamiętną,
Wtedy krzyż na jéj trumnie rozesłał się biały
Na znak, że przeszła drogę już krzyżowéj chwały,
I grób święconéj ziemi przyjął ją w swą ciszę
Jak koleba, co dziecię strudzone kołysze,
I śpiew księży zawezwał Panienki przeświętéj
By wzięła duszę wieczną białemi rączęty.

W tobie żyła i umarła, mój święty kościele
W tobie spoczywać będzie, jako bujne ziele
Jak kłos pełny nadziei, kłos pełen jędrności
Bogaty w plon obfity na dzień Wszechmiłości!...

5.

Rodzinne pola i ojczyste lasy
Zazielenione, strojne w tyle krasy
Rzewnemi po was spoglądam oczyma
Ona was znała — jéj już w świecie niema!

Ona was znała i oko jéj święte
Patrzało na was, jasne uśmiechnięte
Pierś macierzyńską wasza woń krzepiła
Zdrową i szczęsną w pośrodku was była.

W kościołku wiejskim tutaj uklękniona
Poważna, cicha — swéj duszy ramiona
Wznosiła k'niebu — a k'ziemi spuszczała
Gdzie głowa syna pacholęcia lśniała.

W cichéj komnacie — tutaj wśród rodziny
Głos jéj miłosny drżał z duszy głębiny
A serce wielkie, pobożne i święte
Wznosiło nad nią skrzydła rozciągnięte.

I dziś tu wszystko, jak było przed laty,
Lecz smutniéj śpiewa wieszcz niebios skrzydlaty,
Lecz smutniéj dzwonek jęk po jęku roni
Kiedy w pól ciszę Anioł Pański dzwoni.

I miłość moja ku wam się zwiększyła
Dusza się w rzewnem rozkwiliła śpiewa
Jakby ma zmarła jeszcze tutaj żyła
W każdem kwiatuszku oh! i w każdem drzewie

Jakby, gdy ku wam wyciągnę ramiona
Gdy łzawą po was powiodę źrenicą,
Ona tuliła mnie do swego łona
I wiodła w niebo, ku światła krynicom.

I kiedy ziemię rolnik pługiem orze
A ziemia wnętrze miłosne rozkrywa
To sobie myślę, w téj ziemi jéj łoże
Tam ona cicho po trudach spoczywa.

I kiedy rankiem skowronek podlata
Lub gdy wieczorem w lasku słownik pieje,
To mnie się zdaje, że z tamtego świata
Ona żywota opowiada dzieje.

A kiedy dzwonek na mszę zadziendzieli
A miejsce puste, gdzie ona siedziała,
To mnie się zdaje, że tam duch się bieli
Że się tam modli moja zmarła biała.

I gdy rodzina ma kołem zasiędzie
A jéj brakuje w kole zsierociałem
To mnie się zdaje że ona przybędzie
Przybędzie wiotka z zmartwychwstannem ciałem.

Och! bo zgon z światem zmarłéj nierozdzielił
Ani śmierć węzłów serca nieprzecięła,
Bo ją Pan tylko w ducha wyanielił
By wszystkich razem miłością objęła.

6.

Dziwną ja miłość w sercu mojem czuję
Odkąd sierotą po ziemi wędruję,
Odkąd mi serce miłosne ubyło
Nad każdym domem i każdą mogiłą
Spokoju słowo mówię chrześciańskie
Pielgrzymem idę w świat — a w imie Pańskie

I kędy dobrzy witają mnie z proga
Błogosławieństwu ich polecam Boga,

I kędy smutni zajdą na me drogi
Życzę spokoju i pociechy błogiéj,
A kędy grzesznych napotkam na ziemi
Życzę, by Pan się zmiłował nad niemi.

A przez łzę cierpień, jak przez niebios tęczę
Świat mi się w barwy ubiera młodzieńcze
I zdaje mi się, żem w bólów pojęku
Usłyszał lutni Pana mego dźwięku;
Słyszał w samotnéj serca mego ciszy,
Co nigdy żaden szczęśliwy niesłyszy.

I już mnie głosy niesforne nierażą
Ani z zbestwioną śmiertelnicy twarzą,
A com czuł kiedy w marze lub natchnieniu
To mi się w wiarę zmocniło w cierpieniu
Jakby na serca bolesnego skali
Anieli wiarę krwią mą nawiązali.

Zwątpienia potwór serca mi nie ruszy
Bom pod opieką jéj anielskiéj duszy,
Bo gdym jéj tęskny szukał koło siebie
Musiałem wzrok mój potoczyć po niebie
I gwiazd się pytać, gdzie mi się podziała
Anielska dusza ta, co mnie kochała

I w bólach moich nierzucam się więcéj
Lecz lecę ku nim w weselny, dziecięcy
Krzyk — i o przyszłość nietrapię już głowy
Bo mi powiada blask świtu różowy
Bo mnie powiada blask wieczoru cichy
Bo ptaków pienia i kwiatów kielichy
Wołają w zgodne, wspaniałe wołanie:
O zmartwychwstanie ona! zmartwychwstanie!

7.

O zmarła moja, jeżeli grzeszę
To ty uciekasz z dala przedemną
W błogosławionych kryjesz się rzeszę
A mnie tu smutno i ciemno.

Ale gdy lepsza myśl mnie obudzi
Do dobrych czynów dłoń się otwarła:
To pośród świata, to pośród ludzi
Widzę jak do mnie śmieje się zmarła.

I w każdéj czystszéj, pobożnéj chwili
Toś ty tak blisko, tak blisko przy mnie,
Że się ma postać ku tobie chyli
A w powitalnym pieśń kwili hymnie

Że się dłoń moja wyciąga k'tobie
Że miejsce dla cię wygodne robię,
Bo wiem, że wtedy idziesz wraz ze mną
I już sierocie wtedy nie ciemno.

8.

Panie! dzięk Tobie niesiem, że nikt z Twego żniwa
Nieginie i w nicości duszy niepodziewa
Ale miłosną ręką, jak pasterz troskliwy
Każdą duszę masz w pieczy Twojéj miłościwéj.

Panie! dzięk Tobie niesiem, że tracąc miłosne
Dusze nasze, patrzymy w wieczną niebios wiosnę!
I każda jasna gwiazda, każdy kwiat nam wszędzie
Powiada wonią swoją, że im dobrze będzie.

I że ramiona nasze, choć człek karłowaty
Dostają aż w nieznane, archanielskie światy
A łza, co tutaj pada, jak deszcz dobroczynny
Gasi cierpienia tego, co tam jeszcze winny.

Dzięk Tobie, że tam z góry, w Twe odziane blaski
Schodzą k'nam drogie dusze Aniołami łaski,
Żeś trzy światy: tryumfu, walki i żałości
Powiązał jednym świętym pierścieniem miłości.

XVI.

NIEDZIELNA CISZA.

Na odpoczynek po stworzenia dziele
Pan Bóg przeznaczył dzień siódmy, sobotę
A Chrystus spokój przeniósł na Niedzielę
Przeszedłszy krwawą męczeństwa Golgotę.

Odtąd, kto spokój dostać chce w udziele
Niedość, że światy wybuduje złote
Niedość, że myśl swą ujrzy w czynu ciele
Cierpieniem musi utrwalić robotę.

Czyn wyrośnięty z świętych marzeń duszy
Jest jako owoc, co kwiat sobą kruszy
Jak pieśń potężna, która struny zrywa,

Obala człeka, krzyżuje go sobą
A gdy znicestwiał bólem i żałobą
To zmartwychwstania pieśń mu niebo śpiewa.

XVII.

TREŚĆ DZIEJÓW.

Kiedy Bóg ludzi zdumniałych rozdzielił
Gdy duch ich strzaskał piorunem swéj kary
Wtedy z łask źródła jeszcze im udzielił
Zapał miast cnoty — natchnienie, miast wiary

Wtedy im jeszcze ścieżkę pozostawił
By dojść do Niego: — bólu i tęsknicy
I rozproszonym jeszcze błogosławił
Z łzą wilgłą w oku i łaską w źrenicy.

Więc choć łask jego zapomną na ziemi,
Choć rzucą błotem na najświętszą rękę:
To duch ich wewnątrz dźwiękami srebrnemi
Roni w przestwory tęsknoty piosenkę.

Aż zsieroceni, w nędzy ducha nagiéj
Powrócą kiedyś marnotrawne syny:
Wtedy On pełen bolesnéj powagi
Pójdzie powitać pobite drużyny.

I będą prosić Wszech Pana w pokorze:
„Daj nam, ostatnim być przy Twoim progu,
Ale przy Tobie o Panie, o Boże,
Ale przy Ojcu — ach! ale przy Bogu!“.

Wtedy ich w dawne przyoblecze szaty
W dawnych dziedzictwach osadzi ojcowsko
Jeno cnotliwszych jak byli przed laty
Jeno wielbiących Jego dobroć boską.....

XVIII.

MISTERYUM PIĘKNOSCI.

Nie! piękność niejest Szatanem na ziemi
Ale wygnanym na ziemię Aniołem
I mieszka miedzy ludźmi śmiertelnemi
Jak nieśmiertelna gwiazda z smutnem czołem.

I nie dla dumy Pan ją wygnał z nieba
Lecz, że się w toni błękitów ujrzała
I w swojéj własnéj twarzy zakochała
Kiedy jéj Boga kochać było trzeba.

Więc odtąd smutnym narcyzem się chyla
Nad świata mętne, poburzone wały:
Lilii ma białość i puchy motyla
Woni ku niebu — ale kark nieśmiały

Schyla ku ziemi; smutek ma na twarzy
A smutku fala ni ziemia niespłucze:
A bieli niebios świat jéj niepobrucze
Bo ona ciągle o niebiosach marzy.

Jeno jéj jeszcze braknie chrztu świętości
I poświęcenia braknie téj tęsknoty:
A wzniesie główkę ku niebu w miłości
I wróci zdobić tron Jehowy złoty.

XIX.

MISTERYUM ŚMIERCI

Dziwne, dziwne to życie na ziemi
Co zostaje za wędrowca nogą
To się barwy ubiera złotemi
By z przyszłości porożnić go drogą,
Co minęło, radość czy niedola
To wnet złota kryje aureola,
I widnokrąg, co z oczów ulata
Wieczna jasna pogoda okrywa
Że się dusza zniechęca do świata
I tęsknotą jak płaczka odżywa.

Dziwne, dziwne to życie człowieka
Szczęście goni jak błędnik moczary,
Raz w przeszłości krainę ucieka
To się chroni w przyszłości pieczary.
Teraźniejszość musi skonać wprzódy
Nim się schwyci światełko ułudy.
Teraźniejszość kona każdą chwilą
Gasną światła, drogi się mogilą
I na mogił ponure sklepienie
Chechoczące wychodzą płomienie.

W śmierci życia tajemnica leży
W oddaleniu i rozdarciu serca,
Człowiek, szczęścia momentu morderca
Skoro stopą za chwilę wybieży
Klątwę Boga zdejmuje ze ziemi:
Niebo gwiazdy błyszczy jaśniejszemi
Gaje szumią mniéj smutnie i rzewnie
I mniéj smutnie płacze rzeki woda,
Słowik nóci pieśń swą rajsko, śpiewnie,
A dziewicy dalekiéj uroda
Nieśmiertelną pięknością się żarzy
Na pokrytéj oddaleniem twarzy.
W śmierci chwili jest zmartwychpowstanie
W oddaleniu jest niebios świtanie,
Wtedy serce bólu zapomina,
Wtedy dusza zawody przebaczy,
Wtedy dusza, jak rajska ptaszyna
Skrzydełkami się w niebo wyspina
I z niebiosów — świat nieba zobaczy.

XX.

MISTERYUM MIŁOŚCI.

Kiedy dusz dwoje zbliży się do siebie
A uczuć powój, powiąże je razem,
To Aniołowie radują się w niebie
Bo owe dusze razem połączone
Tęsknotą drżące, miłością natchnione
Są Pana wielkich tajemnic obrazem.

Bo w skali duchów, ten ogień miłości
Jest innéj, świętszéj miłości przedświtem,
Bo skrzydło uczuć kiedy się wyprości
To z ziemskiéj duszy wrzącego objęcia
Odbędzie święto swego Wniebowzięcia
Aby bez końca bujać pod błękitem.

Bo owe niebo i rozkosz bez końca,
Co w głębiach ziemskiéj źrenicy jaśnieje,
Jest przed zachwytem zachwycenia słońca
Co po nad dusze złączone zadnieje.
Bo oto sami Anieli stróżowie
Te ziemskie serca wiodą uczuć skalą,
I najprzód dwoje ócz matki zapalą
Aby dziecięcéj przyświecały głowie,
A potem wiodą spokrewnionych duchów
Wiodą przyjaciół, wiodą młodych druchów

Aż w ukochanéj dziewicy źrenicach
Każą raj szczęścia szukać utracony
Póki duch długą tęsknotą strudzony
Przy swego bytu niespocznie krynicach.

Tak przez tęsknotę i ból wieczny łona,
Wznoszą ku niebu człowieka ramiona,
Tak czucia jego, jak aniołki małe
Wiodą go w wieczną Wszechmiłości chwałę.

Ale ten łańcuch niepryska w téj chwale
Nie! Dusze owe girlandą kwiecistą
Pójdą z nim razem drogą uroczystą
Trynmfu drogą polecą wspaniale.
I archanielską są duchowi świtą
Kiedy się zbliża ku Boga błękitom:
I głos ten słychać między śmiertelnemi:
Błogosławiony, co kochał na ziemi.

XXI.

MISTERYUM WIEDZY.

Danaid pracą mędrcy się męczą;
A wiedza wisi nad niemi tęczą.

Sizyfa męką drżą ziemi dzieci:
A wiedza gwiazdą nad niemi świeci.

Tantala głodem świat ludzki kona;
A jabłkiem nad nim wiedza zwieszoną.

W ziemi jéj grzebią, w piekle ją gonią;
Ona im niebem świeci nad skronią.

Kamieni łona tłuką namiętnie:
A wiedza bije w duszy ich tętnie.

Trupów spruchniałe badają głowy;
Ona w ich żywéj klatce piersiowéj.

Zamierzchłe świata badają dzieje;
Ona im w każdéj chwili jaśnieje.

Zkądże duch mędrców w tak grubéj chmurze?
Bo patrzą na dół — a wiedza w górze.

Zkąd próżno myślą sto wieków świata?
Bo wiedza w jednéj chwili nadlata.

Zkąd wciąż błędnemi latają koły?
Bo duch wprost leci, między anioły.

Zkąd umierają u wiedzy progu?
— Niewyszli z Boga, niespoczną w Bogu!

XXII.

RUINA.

Widziałem ruin szkielety sterczące
Wiejących bluszczów ubrane zielenią:
Po mchach, podobnych zielonym strumieniom
Złote, pogodne migotało słońce,
A błękit niebios chmurą nieskalany
Sklepieniem zstąpił na strzaskane ściany.

A nocą jasną, gdy księżyc uroczy
Patrzył przez okna, jak przez czaszki oczy,
Słyszałem liści gwar i szumy wody
I sów żałobny rozhowór z puhaczem,
By dziadów mowę nad zmarłym bogaczem:
Wielki był, silny, potężny i młody
A dziś mu sowy w zamku gospodarzą
Po kościach jego czarne żmije łażą
Pająk w orbitach snuje sieć tęczową
A mchy przerosły mu klatkę piersiową
I tylko brzoza, dziecię pól prostacze
Rano i wieczór rosą nad nim płacze.

Widziałem z ruiny jako wiejską drogą
Niemnodzy ludzie trumnę wiedli białą,
Biedna niewiasta szła chwiejącą nogą
Odprowadzając męża swego ciało.

Nad grobem jeszcze otworzono trumnę
I słońce złote w twarz męża zajrzało:
Twarz miał marsową i czoło miał dumne
A mimo nędznéj odzieży grobowéj
Znać z śmiałych rysów, że to człek herbowy,
Że niegdyś oręż swych ojców miał w dłoni,
Tylko w tych zmarszczkach męczenniczéj skroni
Dziwny niespokój, by z serca pęknienia
Widać: ostatni z swojego plemienia.
Z jękiem niewiasty słychać łoskot wieka
Trumna po sznurach w przepaść grobu wcieka
Z dłoni gróbarzy leci żółta glina —
Tylko pieśń słychać, jak bije z daleka
Wszystko kończąca pieśń: Salve Regina!

I nad mogiły znowu ziemię płoną
Księżyc swą szybą zaświecił czerwoną,
Aby popatrzeć w żony lica blade;
Szumiały olsze cmętarza do koła,
Kawki na krzyżu długą miały radę
I długą radę mieli ludzie z sioła:
„Biedne panisko, niegdyś był bogaty,
Teraz żebrakiem wlókł się między chaty,
Aż mu kark twardy ubóstwo złamało,
Aż w grobie biedne odpoczęło ciało —
Daj mu tam wieczne a spokojne spanie
A światłość niebios daj mu wielki Panie!“

I w dzikim świecie widziałem co chwila
Jak stara przeszłość się do grobu schyla,
Jak siwą głowę ku ziemi przegina
Jak na cmentarzach pieśń: Salve Regina
Przeszłemu nowe śpiewa pokolenie
Jak na grobowe nmarłych sklepienie

Nowe budowy drapią się szczytami
Niepobożnemi stawiane rękami!
W dobytku matek krwią zbroczonym ciepłą
Widziałem zbójców ustrojone żony,
Po starych dworach, gdzie ledwie zaskrzepło
Familijnego kominka ognisko
Widziałem obcych straszne koczowisko
Jak robak w świeżym trupie wylęgniony.
Widziałem ludzi nad zmarłych mogiłą
Straszną, zawistną szwargoczących mową
I opartemu o przeszłość grobową
Smutno mi bardzo, o! smutno mi było.

I ulękniony w ruin ciszy głuchéj
Z bluszczem się razem pytałem ruiny:
Czemuś tak ugniótł wielkie ojców duchy
I chwastem bujne zapuścił równiny?
W domy przekupniów zamienił świątynie
A gadom ziemi dał lęgnąć w ruinie?
Czemuś im niedał wielkiéj, pięknéj śmierci
Jak wulkanowi, co odrazu pęka,
Lecz kazał czekać, aż ta długa męka
Tocząc ich ciało do serca się wwierci,
Aż robak szpiku ich kości dosięgnie
Aż świat bezwładnym popiołom urągnie?

Wtedy mi wyrok zatętniał wśród łona:
Biada pieśniarzom — bluszczom i powojom,
Co się oplotą o rycerską zbroją,
O czaszki wielkiéj, wiekowéj mogiły,
I pośród znamion potęgi i siły
Bezsilne, wiotkie podnoszą ramiona!

Biada! co czasów opłaczą konieczność
I o straszliwéj przemiany godzinie

Miasto wspaniałą budować świątynię
Śmiertelni wchodzą w nieśmiertelnych wieczność,
Kamień nagrobka zwalają na głowę
Na której wieńce nieświecą laurowe.

Biada! co w Bożą niewierzą Opatrzność
A gdy domowe sklepienia się łamią,
W gruzach przeszłości psalmy bólu kłamią
By tłumaczyła bezsiłę, rozpaczność,
Biada, co między dębów ruinami
Nie dębem wzrośli lecz jeno — brzozami.

Gdy w bólach zwrotu ciepła krew zadymi,
Gdy wiek na krzyżu mąk przybije ręce:
Wtenczas się w falang połączmy olbrzymi
Cierpmy i gińmy, lecz w wytrwania męce
W uścisku bratnim idźmy na wstecz świata,
W gorączce czynów, z ogniem ducha w oku:
Idźmy się pytać u stóp Majestatu,
My pełni życia — o śmierci wyroku!

XXIII.

MISTERYUM ŻYCIA.

Dwojakim ruchem Ty kazałeś Panie
Dążyć ku Tobie, dążyć w zmartwychwstanie,
Z świata — w świat duszy — i w świat — z duszy świata —
Jako jaskółce co nad wodą lata

I wraca w gniazdo i znów z gniazda leci
Jak słońcu, które w dzień nad ziemią świeci
A nocą nowe gotuje promienie.

Swiat nam opuścić kazałeś zwodniczy
I duszę w piersi zamykać sklepienie.
Z Tobą zamieszkać w ciszy tajemniczéj
Jak kapłanowi, co ofiarę pali
By Twe wyroki w serca słyszeć drżeniu
Znicestwieć w Tobie i w tem znicestwieniu
Być Twą prawicą ukowaną z stali.

I z tajni duszy, w zbroi Twojéj ś[illegible]téj
Kazałeś w świata roztajać przest[illegible]
A potem nakształt rosy różnowzoréj
Na łan Twéj siejby padać rozwinięty.
Jak kwiecie pola, jak owoc jabłoni
Rosnąć nie sobie, swojéj nieczuć woni,
Rozwielokrotnić się w drobnéj usłudze
W tysiącznych trudach i w ciągłem czuwaniu
Swe zrobić cudzem, swojem zrobić cudze
I wyznać Ciebie w swém własnem zaprzaniu.
Jak drzewo, ludzi chronić skroń przed skwarem
A sam gorąca wiecznym schnąć pożarem.
Znicestwieć znowu — ale z nicestwienia
Każdego czasu wstać w pełni istnienia
Nieroztargniony falą świata wrażeń
Bez snów sobkowstwa i bez chwały marzeń,
Każdego czasu, gdy wołasz z niebiosów
Stanąć pokorny i w otwarte ręce
Z jednaką twarzą czekać Twoich ciosów
Jak słów w anielskiéj niesionych podzięce,
I gdybyś piekła suł na piersi żary
Niepytać nieba o słuszność wyroku
Ale sumienia o przyczynę kary:

Pod Twoją stopą płomienną, gniotącą
Bluszczu się zwinąć gałązką wijącą
Konając ojca widzieć w Twojem oku,
Konając nucić himn twéj świętéj wiary,
Tym wiecznym, świętym, nieodmiennym ruchem
Panie! Tyś kazał iść za Twoim duchem,
I dolę człeka słabiuchną i lichą
Z anielskiéj doli powiązał łańcuchem.

A. m. D. g.

Kraków. — W drukarni „Czasu" 1860.